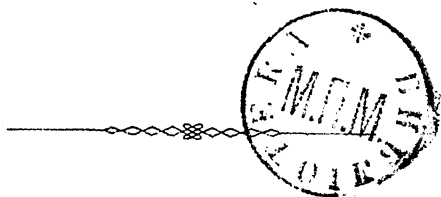


Á
Józefa Szebekówna.

— * * * —

ŻYCIE SYZYFOWE.

POWIEŚĆ.



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

—
1892.

Á

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Ноября 1891 года.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

I.

— Witeek!... Wiitek!... — zawołała Wojtkowa, stając na progu kuchni i oglądając się po folwarcznem podwórzu.

Zasłoniła się od blasku słońca ręką, z pod której wyglądały czerwone, łzami zaszcze oczy i chuda twarz, nacechowana wyrazem niecierpliwości. Po stała chwilę, potem wbiegła napowrót do obszernej izby. Jedną jej ścianę zajmował duży komin z szabaśnikiem, drugą dwa łóżka, pokryte nędzną pościelą. Pod oknami, których małe i zakurzone szyby przyćmiewały blask majowego słońca, stały zydle, ławki i stół, przy drzwiach stągiew z wodą i stary kosz, pełen obierzyn. Z okopconego sufitu zwieszały się zatknięte między belkami zioła, na półce przy kominie rzędem stały garnki i miski, a przy każdym łóżku drewniana, na czerwono malowana skrzynia, mieszcząca chudobę folwarcznej kucharki — Wojtkowej i Franki — jej pomocnicy.

Wróciwszy do izby, Wojtkowa zajrzała do saganów, gdzie woda już przestała się gotować, potem do komina.

— Gaśnie—szepnęła,— a drzewa ani kawałka — dodała, schylając się do garnka. — Niestety moje z tym chłopakiem!... a takem gadała, żeby mi był pod ręką.

Nie mając na kim wyrzucić złości, zaczęła gwałtownie poprawiać ogień, aż głównie wylatywały na środek izby. Zbierając je rękoma, powleczone tak grubą skórą, że prawie nie czuła dotknięcia żaru, Wojtkowa głośno kłęła. Wreszcie tak szybko, że ledwie mignęła czerwona jej spódnica i rozwarła na piersiach koszula, przebiegła się i, stanawszy na progu, znówu zaczęła wołać Witka.

W gestych krzakach bzu, kwitnącego pod sztachetami, które oddzielały folwarczny dziedziniec od dworskiego, coś się poruszyło. Po chwili rozchyliły się gałęzie i pomiędzy nimi ukazała się jasnowłosa głowa dziecka, potem wynurzyła się z nich drobna postać z wydatnym brzuchem, ubrana w brudną koszulinę, i zaczęła iść w stronę kuchni, jak zakradający się kociak. W miarę jak się dziecko zbliżało, zwolniło kroku, na jego zamorusanej twarzy osiadł wyraz zakłopotania, a na widok stojącej przed kuchnią kobiety w jasnych, z podełba patrzących oczach odbiła się trwoga. Zatrzymał się w oddaleniu.

— Jesteś, gałganie! — zawołała Wojtkowa, uderzając go w plecy trzymaną w ręku warzą-

chwia. — A to nie wiesz, że Franka poszła do pańskiej kuchni i drew niema?

Dziecko zapłakało i schroniło się do izby.

— A drzej się, drzej, to jeszcze dostaniesz! — rzekła mu na pociechę matka, idąc za nim. — Leć mi po drzewo, a wartko, bo...

Chłopak nie dosłyszał ostatnich słów; trzymając się ściany, żeby jaknajdalej pozostać od matki i jej groźnie rozmachujących rąk, wysunął się z izby i co tchu pobiegł ku drwalni, przed którą właśnie stróż rąbał drzewo. Nabrawszy tyle, ile jego ośmioletnie ramiona były w stanie utrzymać, przyniósł je do kuchni i, stękając, rzucił przed kominem.

Przez krótką chwilę jego nieobecności gniew Wojtkowej ostygł, a widok syna, na twarzy którego krople potu zmieszały się ze łzami, do reszty ją rozbroił. Wziąwszy ścierkę, zaczęła odsuwać sagany i zapakowała drzewo, którego głośny trzask po chwili oznajmił, że się rozpala.

— Dosyc — rzekła, sądząc, że Witek wybiera się po nowy transport; on tymczasem, zasepiony, odwrócił się do okna.

— Gdzie latałeś?... — spytała go po chwili, i usiadłszy na niskim zydłu, wzięła się znowu do obierania kartofli.

Dziecko zawahało się.

— Podle dworu byłem — odpowiedział.